

*Die 6 septembris*  
*Obóz pod Glinianami, południe*

Dymitr sypał carskimi nominacjami jak z rękawa. Hetmanem został jego przyszły teść – Jerzy Mniszech, pułkownikami zaś Adam Żulicki, Stanisław Gogoliński, Adam Dworycki, Stefan Nieborski i Makary Demęzki. Było też rzeczą jasną jak słońce, że wojewoda sandomierski, którego wojskowa eksperien-

cja ograniczała się do wiedzy, za który koniec trzymać szablę, będzie hetmanił jedynie de nomine, a rzeczywista władza pozostanie przy Dymitrze i pułkownikach, zwłaszcza przy Dworyckim i Żulickim. A jednak panu wojewodzie nie brakowało fantazji, kiedy przemawiał na koniec koła rycerskiego, zagrzewając polskich panów do dalszych wysiłków.

– Idziecie na bój i trud krwawy, którego wynik tylko samemu Panu Bogu jest znajomy – perorował, jeżdżąc od chorągwi do chorągwi, od roty do roty. – Walczyć z odwiecznym wrogiem Moskalem, carem Borysem Godunowem, tyranem i samozwańcem, który zagarnął tron nie dla niego przeznaczony! Wiem, co teraz myślicie, mości panowie bracia: że jaśnie oświecony pan wojewoda wysyła was do nierównej walki przeciw barbarzyńskim wrogom, samemu zemknąwszy w domowe pielesze. Otóż rzeknę wam, że nie tylko z pola walki nie ucieknę, ale i z wami pójdę do boju w pierwszym szeregu, odkładając na bok godność senatorską, nie zważając na brodę siwą i wiek sędziwy! Sprawa, za którą bić się będziecie, słuszną jest i zwycięska. Nie przeczę – będzie ciężko, będzie groźnie, będzie mróz i krew, wojna i śmierć. Jeśli jednak wytrwacie, przedkładając męstwo nad infamię, a szablę nad pierzynę, zyskacie nieśmiertelną sławę i chwałę! Jak Cortes, co zdobył pogańskie państwo w Nowym Świecie! Jak Kolumb, co wytyczył szlaki do nowych mórz i lądów. Niczym hiszpański Pizarro, co poszedł drogą, którą żaden śmiertelnik iść się nie poważył. Póki kopii i husarza staje, będzie Polak pan w polu. Skoro kopia zginie, zginie i polska cnota. Pokażcie więc, bracia moi, że jeszcze nie nadszedł ten dzień! Naprzód, po sławę i szczęście! Za mną! Na Moskwę!

Sam pierwszy uderzył konia ostrogami i ruszył traktem na wschód. A za nim, kiedy gwar rozległ się wśród rycerstwa, poszły chorągwie husarskie i kozackie. Wnet Dymitr kazał trąbić na zwijanie obozu, uderzyć z działa, oznajmiając, że postawił wszystko na jedną kartę.

Wyprawa była rozpoczęta.

Spod Glinian ruszyli dwoma kolumnami – jedna drogą kijowską, druga krymską; a wszystko po to, by uspić czujność kasztelana krakowskiego Janusza Ostrogi i jego ojca – Konstantego, wojewody kijowskiego. Nie pierwszy raz zależli oni carewiczowi za skórę, zwąc moskiewskiego pretendenta Dymitriazką i carzykiem, a jego armię – zbrojną hałastrą i żądając na sejmie banicji dla wszystkich jej żołnierzy. Jeszcze gorzej usposobiony był wojewoda wołyński Janusz Zbaraski, zapowiadający wszem wobec, iż uderzy ze swoimi prywatnymi rotami na wojska Samozwańca. Największą grozą zaś i mieczem wiszącym nad karkami Dydyńskiego i jego ludzi stał się hetman polny koronny Stanisław Żółkiewski, faworyt i prawa ręka kanclerza Zamoyskiego. Gdyby zagroził z wojskiem kwarcianym armii Dymitra drogę do Moskwy, niechybnie cała epopeja skończyłaby się równie szybko co żywot świecy nakrytej gasidłem; żaden bowiem towarzysz z poważnych znaków, czyli z chorągwi husarskich lub kozackich, nie stanąłby do walki ze swoimi braćmi Polakami i Rusinami z armii koronnej. Wolontariusze zaś rozpierzchliby się jak zajęce na samą myśl o spotkaniu z regularnym wojskiem.

Mała liczbą, ale wielka duchem armia przemykała zatem boczkim, boczkim przed panem Ostrogskim, a Dydyński zachodził w głowę, jaki będzie kres tej wyprawy. Skoro bowiem wojska popierającego Dymitra było tak mało, że uległoby prywatnym oddziałom magnatów, tedy jakie szanse miały one w walce z o wiele potężniejszą armią cara Godunowa? Doprawdy pan stolnikowic nie brał jeszcze udziału w wyprawie, w której ryzyko skręcenia sobie karku było tak pewne jak to, że na koniec pacierza następuje amen.

Dymitr szedł w pierwszej kolumnie, kijowską drogą, prowadząc rotę husarską: swoją, wojewody i starosty sanockiego, a także chorągiew pana Fredry i czterystu piechoty niemieckiej. Nie tyle nawet szedł, co przemykał się; chorągwie ciągnęły bez zbroi, kopie leżały ukryte na wozach, a skrzydła zapakowane pod pałuby i płócienne płachty. Towarzysze ubierali się tak li-

cho i pstrokato, iż z daleka można wziąć ich nie za regularne wojsko, ale kupy szlachty ukraińskiej podążającej na okazowanie albo sejmik do pobliskiego miasteczka.

Moskwa – groźna, skuta lodem i śniegiem, spętana wyjącoymi dziko wichrami – była coraz bliżej. Pod kopytami zaś ścieleła się jesienna Ukraina, cała w żółci i czerwieni, ze swoją rozłożystością, polami, stepami i borami od widnokręgu po widnokrąg, co jakiś czas przecinanymi jarami rzek.

Było babie lato Rzeczypospolitej; czarno-białe czajki wzbijały się znad jezior i rzek, kołując nad głowami panów braci, łącząc się w gromady, które odchodziły ze stepów na południe, z moczarów i mokradeł zrywały się do lotu wielkie stada żurawi, pługząc konie nagłym trzepotem skrzydeł; leciały kłuciami na poblękitniałym niebie. Nocami ciągnęły dzikie gęsi, błyszczały gwiazdy na pogodnym niebie, a zza borów i lasów wstawał wielki, majestatyczny księżyc sunący po nieboskłonie niczym galeon wyładowany polskim zbożem.

Minęli Złoczów leżący w głębokiej dolinie Złoczówki, okolony wzgórzami, odnogami Woroniaków. Przejechali przez drewniane przedmieścia: Gliniańskie, Szlaki, Podwójcie, Lwowskie i Brodzkie, omijając maleńki zameczek ufundowany przez Jakuba Sobieskiego, a potem wjechali do Zbaraża. Odpadli od kuczmańskiego szlaku zdążającego na południe – wododziałami Dniestru i Bohu, przekraczając Dniepr w Tawaniu, a Boh – już w Dzikich Polach, pod Owczym Brodem.

Wkroczyli do starych dębowych lasów, pamiętających czasy Włodzimierza, który całe wieki temu chrzczył dawną Ruś, a teraz Ukrainę znakiem greckiego krzyża. A kiedy roztoczyły się przed nimi żółknące sady, drzewa wiśni i śliw, wiedzieli już, że są na dobrej drodze do Wiśniowca.

Wjechali do miasta szumnie i strojnie, nie bojąc się nikogo, bo była to dziedziczna włość książąt Wiśniowieckich, gorliwych stronników Dymitra, dokładnie zaś, Aleksandry Wiśniowieckiej wydanej jakiś czas temu za kniazia Jerzego Iwanowicza Czartoryskiego, starostę łuckiego. Stanęli na popas w mieście

nad Horyniem, przegrodzonym tamą dzielącą osadę na dwie części: Nowy Wiśniowiec na wyniosłym lewym brzegu rzeki i Stary – na obniżeniu po prawej jej stronie.

A potem ruszyli dalej – na Monaczyn, gdzie z pocztem pełnym zbrojnych sług i piechotą dworską dołączył do nich książę Konstanty Wiśniowiecki.

Szli bez wytchnienia i spoczynku, nie sypiając po nocach, trzymając gotowe i osiodłane konie na wypadek alarmu. Minęli Połonne przy ujściu Chomorca do Chomora, nad wielkim stawem uformowanym z rozlewisk rzeki, w którym w pogodne noce kąpały się gwiazdy. Obeszli miasto jak najciszej, nie pozostawiając po sobie innych śladów niż trakty zryte końskimi kopytami, nie oglądając dziewięciu cerkwi i kościoła Świętej Anny, czując tylko z daleka woń dymu ze smolarni i słysząc skrzypienie młynów.

Ruszyli do Cudnowa, przeszli przez Teterew, w tym miejscu dość wąski, urwisty, z brzegami z olbrzymich głazów. Na polach pojawiały się ogromne skały z granitu, między którymi rozłożyło się Stare i Nowe Miasto – połączone groblą, na której postawiono dwa młyny – leżące w cieniu zamku na granitowej górze, otoczonego czworobocznym wałem z kamiennymi fosami. Pomimo położenia twierdza nie wyglądała na zdatną do obrony. A mówiąc prosto z mostu, była to stara jak świat rudera.

Poszli na północny wschód, mijając bory złożone z buków, dębów i jesionów, szli skrajem lasów, pól i stepów, ostrożni jak wilki, bo Cudnów należał do Ordynacji Ostrogskiej księcia Janusza – zawziętego wroga Dymitra.

Szli dalej, swobodni, mając w nozdrzach woń jesiennej Ukrainy. Wszędzie na polach i niwach trwały orki. Od wschodu do zachodu słońca niskie, krępe woły, sprzęgnięte w jarzmach po dwie, cztery, albo i sześć sztuk, ciągnęły ciężkie, koleśne pługi, pozostawiając chmurki pyłu i grube bruzdy w czarnej ziemi. O tej porze nie było już wiatru i słońca, ani światła, ani cienia, ani ruchu, ani szmeru. Niebo lśniło błękitem, a drzewa przybrały się w żółknące listowie. Kopyta koni stąpały po wilgotnej ziemi, wysokie, suche źdźbła traw – ostnicy i kostrzewy –

nie kołysały się od wiatru, długie nici babiego lata błyszczały na murawie, a daleko nad mokradłami i stepami rysowały się pierwsze przędze srebrnej mgły.

Szli dalej, na Kijów, do granicy. Przecięli Czarny Szlak tatarski, zwany również Szpakowym – oddalający się na wschód i południe – wprost ku Dzikim Polom. Idący wododziałami między Bohem i Dnieprem, pomiędzy Ingułem, Ingulesem, Olszanką, Rosią, hen w stepy i pustynie, na Tawań i Ingulec.

Im droga wypadła inaczej. Wiodła tam, gdzie na niebie pokazała się kometa – bowiem jak Rzeczpospolita długa i szeroka, żadna wojenna wyprawa nie mogła obejść się bez dobrej albo złej gwiazdy. Ta wskazywała raczej na pohybel Moskwie, bo kierowała się z zachodu na wschód, jak grot husarskiej kopii.

Przemknęli przez Oleszyn, Ichnatowice i Kierdanowice, podniesieni na duchu, bo nie było dnia, aby do tej zadziwiającej wyprawy nie dołączały kolejne posiłki. Najpierw dziesiątego października przyjechał pijany książę Roman Narymuntowicz-Różyński, syn carskiego wojewody, który za czasów Stefana Batorego przyjął służbę u polskiego króla, a Dymitr obiecał mu oddać włości w ziemi smoleńskiej. A potem, kiedy ruszyli na Stawiska i Chwastów, co rusz powiększały się ich szeregi. Coraz to ktoś nowy dołączał z pocztem do chorągwi husarskich, kozackich i wolontarskich. Z niespokojnej Ukrainy ciągnął do nich lud zbrojny i konny, szlachta i Kozacy, mieszczanie i chłopci.

Wzmogli się dobrze na siłach, kiedy przez dwa dni odpoczywali w Wasilkowie. Aż wreszcie szesnastego octobra doszli do Biełgorodka. Tu czekał na nich kosz zaporoski atamana Gierasima Ewangelika i dobre dwadzieścia sotni Dońców Piotra Koreły. Kozacy powitali Dymitra jak swego – palbą z hakownic, podrzucaniem czapek w górę, atamanowie bili mu czołem, płakali, witając carewicza, i na ostatek – rzecz jasna, popili się horyłką jak nieboskie stworzenia. Co było największą oznaką kozackiego uwielbienia i wierności.

A potem był Kijów, ostatnia, bezpieczna i znana przystań przed moskiewską Tartarią. Święty gród prawosławnej Rusi,

miasto cerkwi i monasterów, drewnianych domów i zamków na wysokich górach.

– Jakże tam monastery, cerkwie i świątynie – rzekł Jan Buczynski, kiedy jesiennym wieczorem spoglądali na miasto. – Kijów to drukarnie. A drukarnie to ruskie gramoty, które odbijemy w setkach, tysiącach sztuk. I rozrzucimy po Moskwie, krzyżąc, że oto prawy car wraca, krzywoprzysięcę i krwawego łotra Godunowa z tronu zdejmie! Spokój, wiarę i dostatek w całej świętej Rusi przywróci. Tak, waszmościowie husarze, obaczycie jeszcze, czy mój papier nie zwojuje więcej niż waszmościów kopie!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki